



Kazimierz  
Przerwa-Tetmajer  
Romans  
panny Opolskiej  
z panem Główniakiem

universitas

Romans  
panny Opolskiej  
z panem Główniakiem



K L A S Y K A   M N I E J   Z N A N A

Kazimierz  
Przerwa-Tetmajer

Romans  
panny Opolskiej  
z panem Główniakiem  
Anegdota

© Copyright by Towarzystwo Autorów i Wydawców  
Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2004

Podstawą niniejszej edycji jest wydanie:  
Kazimierz Przerwa-Tetmajer, *Romans panny Opolskiej  
z panem Główniakiem. Anegdota*, Warszawa 1912.

Tekst zmodernizowano według obowiązujących zasad  
ortograficznych i interpunkcyjnych.

ISBN 97883-242-1030-5  
TAiWPN UNIVERSITAS

Korekta  
*Mirosław Ruszkiewicz*

Projekt okładki  
*Ewa Gray*

Z turkotem i rozpędem zajechało kilka lekkich pojazdów, w dobre konie zaprzężonych, przed dwór czy pałac, jak go także zwano w Kresowicach. Z pierwszego wózka, chwyciwszy rajtpajcz za plecami położony i rzuciwszy lejce chłopcu stajennemu, ponad stopień, prosto na ziemię wyskoczyła panna Helena Klementyna Opolska i poczęła wołać do przybyłego wraz z nią towarzystwa:

– Wysiadajcie! Wysiadajcie! Musicie być głodni!

Towarzystwo wysypało się z wolantów, wózków i amerykańków. Sama młodzież, młode panny, młodzi chłopcy, wszystko z wiejska ubrane, suknie podpięte, sztylpy i buty z cholewami, wszystko ochocze, zdrowe i przystojne.

– Proszę! – wołała panna Opolska. – Chodźcie!

Młodzi ludzie nie weszli, ale raczej wpadli na wyścigi po kilku wysokich schodach w ogromną sień, gdzie na ich powitanie wylazł rosły, o głupim wyrazie wąskich, skośnych oczu pies, jakaś mieszanina brytana i doga i podniósłszy wielki łeb w górę, patrzył na przybyłych.

Nim zawieszono na kołkach peleryny, płaszcze i kurty zwierzchnie, wszedł do sieni z dziedzica Jan Główniak, nauczyciel ludowy z Kresowic i zarazem nauczyciel ośmioletniego Jacusia Opolskiego, brata panny Heleny Opolskiej.

Główniak starał się przejść niepostrzeżony pod lewą ścianą sieni, ale pies zastąpiwszy mu drogę i wyszczerzywszy zęby, począł warczeć.

Główniak zatrzymał się zakłopotany. Pies był ogromny.

Działo się to tuż przy ścianie, za plecami kilku tyłem do niego odwróconych panien, pośród których stała panna Opolska; panny żywo rozmawiały, poprawiając na sobie ubranie i przyglądając sobie naprędce włosy.

Główniak czuł straszną i upokarzającą katastrofę przed sobą. Nawet krzyknąć na psa się lękał, aby jej nie przyspieszyć. Widział to, że jeszcze moment, a głupi i zły pies rzuci się ku niemu ze zgubniejszym, niż możliwe rany, upokarzającym hałasem.

Wtem świsnęła rajtpajcz, gruby i twardy, z ręki panny Opolskiej z tak wściekłą siłą uderzając w łeb psa, że pies przypadł pyskiem ku ziemi, drugi zaś cios, nie słabszy od poprzedniego, w bok wymierzony, w przednią łopatkę, zmiotł go z drogi przed Główniakiem.

– Dzię-dziękuję – poczęło się belkotać Główniakowi w ustach.

Ale panna Opolska zaledwie odwróciła głowę i zaledwie spojrzała nań. Nie przerwała rozmowy z towarzyszkami.

Główniakowi zdawało się, że się uklonił i poszedł dalej, na lekcję z Jacusiem, niesłuchanie zmieszany, zawstydzony i wzruszony.

– Kto to jest? – zapytała panny Heleny panna Tonia Rapciszewska. – Śliczny chłopak!

– To? Nauczyciel Jacka. Pan Główniak.

– Jak?!

– Główniak.

– Zmiłuj się! Nie może być! – i panna Rapciszewska parsknęła śmiechem.

Z kątów szafirowych ócz panny Opolskiej, podobnych do zamgłego jeziora, strzeliły ku niej złe ognie, ledwo widoczne. Panna Rapciszewska nie spostrzegła ich wcale.

Wesołe, gwarne, swobodne i ożywione, przemrożone trochę chłodnym ranem listopadowym i rozruszane przejażdżką, której panna domu nadała szalone tempo, towarzystwo runęło do sali jadalnej. Był to dzień dwudziestego trzeciego listopada, świętego Klemensa, dzień imienin ojca panny Opolskiej, pana Klemensa Opolskiego (herbu własnego Opolski z Opolska i Kresowic Pastewnych), a zarazem także rodzaj imienin panny Opolskiej. Rodzina i sąsiedztwo zjechali się licznie.

Bo w tej okolicy, dalekiej miastom i zapadłej w lasy, szlachta siedziała jeszcze gęsto po wsiach dziedzicznych i jeszcze żyła tam tradycja obchodów rodzinnych i sąsiedzkich zjazdów w całej pełni. Nie żałowano sobie.

– Więc. Ile razy idzie dziewiętnaście w stu? – pytał Główniak Jacusia Opolskiego, siedząc w jego pokoju przy lekcji.

– Dziewiętnaście w stu?... Dziewiętnaście w stu?... Cztery razy.

– Hm... Co jest większe: dwadzieścia czy dziewiętnaście?

– Dwadzieścia.

– Więc. Ile razy idzie dwadzieścia w stu?

– Pięć razy.

– Widzisz. No to ile razy idzie dziewiętnaście w stu?

– Cztery razy.

– Jakże? Kiedy dziewiętnaście jest mniejsze od dwudziestu?

– No to właśnie.

– Jak to?

– No bo jak jest mniejsze, to musi iść mniej razy.

– Jacuś! – wykrzyknął Główniak z rozpaczą, kiedy do pokoju weszła panna Opolska.

Główniak zerwał się na równe nogi z krzesła, aby się uklonić, ale panna Opolska nie patrząc nań, z wydętymi wargami, choć przybladła na twarzy, unicestwiła jego ukłon więcej mrugnięciem oczu niż skinieniem głowy i odezwała się do brata:

– Jak skończysz dziś lekcję, prędzej niż zwykle przyjdź na śniadanie.

– To jest – otwarł usta Główniak – jak prędko? Mamy jeszcze niemiecki i religię.

– Może być i zaraz. Mama zapomniała pana kazać uprzedzić. Dziś imieniny papy.

– A! To ja... to więc...

Ale panna Opolska skinęła znowu oczami Główniakowi i wyszła z pokoju.

– A Helenka to zawsze dla jakiegoś rezonu przyjdzie, jak pan ma lekcję ze mną – zauważył Jacuś.

Główniak nie usiadł już, lecz położył bibułę na cyfrach pięć tysięcy sześćset osiemdziesiąt cztery, podzielone przez dziewiętnaście, zamknął zeszyt i rzekł do Jacusia:

– Więc idź.

– Już?

– Papy imieniny.

– Bonżur panu! Przyjdzie pan po południu szcudła robić?

– Dziś? Nie. Goście.

– No to cóż? Pan przecie do gości nie pójdzie.

Nie czekając wyleciał Jacuś z pokoju.

Główniak uczył w sobie diabła nieprzyjaciela. Ten radził mu iść powinszować panu Opolskiemu.

Po co? Na co? Kto dbać może o powinszowania nauczyciela ludowego? Goście, obcy ludzie, wyniosły pan Opolski, lodowo grzeczna pani Opolska – po co, na co? Zawadzi się, potknie, zapłacze się w suknię, język mu skołczeje – po co, na co?

Jednak szedł śladem Jacusia przez salę bilardową i pokój myśliwski w stronę sali jadalnej, zamiast wyjść przez pokój francuski prosto z pokoju Jacusia do sieni.

W pokoju myśliwskim, niegdyś zwanym fajczarnią, a dziś służącym za pokój do palenia po obiedzie i do gry w karty, spotkał kamerdynera



Franciszka, który tam stoliki ustawiał do winta po śniadaniu przed obiadem.

– Dokądże to pan profesor? – zapytał przebijając spojrzeniem na wskroś Główniaka.

– Imieniny pana dziedzica – odpowiedział Główniak zbity z tropu zupełnie. – Chciałem powinszować.

– Myśmy już winszowali – odpowiedział dumnie lokaj.

Główniak nie wiedział, czy go rznąć w pysk, czy się zabrać i wynieść. Wybrał to drugie.

\* \* \*

„Ach, jak strasznie, jak strasznie jestem zmęczony... Siły moje się rwą i mam uczucie konia, który pod górę ostatkiem sił pod batem furę piasku ciągnie. Cóż robić?

Upadek mój jest pewny. Jeszcze lat parę, jeszcze rok – nie mogę dłużej, nie mogę dalej.

Oczy moje ślepną, mózg mój załamuje się, całe ciało, cała dusza odmawia mi służby.

Od lat dwudziestu sześciu nie wyrzaleam za miasto.

Naprzód utrzymywałem rodziców i siebie – teraz utrzymuję rodzinę i siebie.

O przekłeta chwilo mego małżeństwa!

Przekłeta żono! Przekłete dzieci!

Wyście to wyssały krew z mego ciała, pożeracie mnie żywcem.

Po co jesteście? Po co was tyle?!

Ja was nawet kochać nie mogę, bo nie mam na to czasu. Nawet na kochanie mojej żony i moich dzieci nie mam chwili wolnej.

Tylko czuję, jak ginę pod waszym ciężarem, jak się zapadam w przepaść.

Jedno, drugie, trzecie i ona, żona moja.

Pracować. Pracuję dzień i noc, wiecznie, ciągle, bez wytchnienia. Zdaje mi się, że nawet we śnie pracuję.

Pracuję na was lat dwanaście. Dziękuję Bogu, że rodzice moi pomarli przed wami naturalną śmiercią, bo obecnie poumieraliby z głodu.

A przede mną upadek.

Zapadnięcie się jakieś straszne, zniknięcie z powierzchni ziemi.

No nic – któż bo ja jestem?

Rozpaczliwy rzeźbiarz, rozpaczliwy artysta, zarabiający w najświetniejszych epokach do tysiąca pięćset franków rocznie.

Nie mam talentu, nie mam zdolności, nie umiem dosyć, jestem do niczego.

O tym wszystkim wiem.

I dlatego żyję w nędzy i dlatego od lat dwudziestu sześciu nie wyszedłem za miasto, bo gdy zobaczę wolny świat, ziemię, niebo: ból mój, cierpienie moje potęguje się, wzmacnia tym więcej, chce pierś moją rozsadzić.

Cierpię.

Strasznie, nieludzko, okropnie cierpię.

Lecz cierpienia moje, moja walka z moją chorą duszą, moja walka z moim chorym ciałem, moja walka z moją nędzą i z nędzą mojej rodziny jest niczym wobec strachu mego o jutro, wobec tego śmiertelnego lęku.

Ci wszyscy moi – Boże! – ci wszyscy moi mogą zostać bez chleba! Gdybym umarł, gdybym zachorował – Boże mój!

Więc dlatego, że mam za mało talentu, że za mało umiem, takie ma być życie moje?!

Takim ma być piekłem, taką męczarnią?!

I nikt, nikt nie jest obowiązany się mną zająć, mną, człowiekiem, który przez lat pięćdziesiąt pracowałem, chciałem czegoś, sililem się, miałem nadzieję, że zdobędę nic więcej, tylko pewny i dostateczny choćby kęs chleba dla mej rodziny i siebie.

I do nikogo, do nikogo ja się zwrócić nie mogę, nigdzie szukać pomocy?

Bo nie ma nikogo powołanego, przeznaczonego na to?

A to bydło bogate, opływające w dostatki żyje i plwa na mnie, jak na śmietnik, bom nędzarz?

I nikt nie jest obowiązany...”

Panna Opolska zamknęła książkę.

Była noc listopadowa, mroźna i widna. Księżyc świecił na nowiu i gwiazd tysiące błyszczało w niebie.

Spojrzała na zegarek. Było wpół do pierwszej.

Po kolacji tańczono dwie godziny. Ponieważ nazajutrz miało być polowanie, o północy towarzystwo imieninowe rozeszło się spać.

Panna Opolska poszła do swego pokoju na piętro i tam w ubraniu wieczorowym położyła się na łóżko i poczęła czytać powieść, tłumaczoną ze szwedzkiego, *Los*.

Wstała.

Nie mogła dłużej leżeć.

Suknia nierozsznurowana była jej ciasna, wszystko ją irytowało, drażniło ją.

*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

